1923 r. LISTOPAD № 20.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

U źródeł myślistwa.

Mroczna jest droga w przeszłość. Dwa światła jedynie rozjaśniają tam zwarte ciemności: wiedza i legenda.

Ale wiedza jest jako błędny ognik na trzęsawisku, który zbłąkanego wędrowca nieraz kołem wodzi, a nieraz prowadzi w niezgłębione topiele.

Legenda zaś jest jako gwiazda przewodnia, wiodąca nas w nieprzebytą mgłę dawnych wieków.

Wiedza drwiła nieraz z legendy. A po setkach lat „mędrca szkiełko i oko" odkrywało prawdy, o których głosiły oddawna prastare baśnie.

Nim wiedza zbadała epokę lodową i dzieje potopu, który po niej zalał świat, legenda opowiadała nam o lodowej zimie i o straszliwej wiośnie dziecięcej jeszcze ludzkości.

Zimna, śnieżna baśń. Biała bajka epoki lodowej. Świat skamieniały w mroźnym bezruchu.

A potem coraz gorętsze uśmiechy słońca, pod których promienną pieszczotą zaczynają tajać roziskrzone pola lodowe.

Po zimowej ciszy następuje orgja wiosny oszalałej. Potop rozpętanych wód. Szaleństwo niszczących fal. Człowiek i dziki zwierz uchodzi w niedostępne góry. Na skałach bezpłodnych chroni się przed grozą żywiołu, którą uważa za karę zagniewanych bogów.

A po rozmokłych, żyznych dolinach, po opadnięciu wód w blasku wiosennego słońca rozrasta się bujna roślinność. Po fal potopie następuje potop zieleni. Doliny zalewa szumiące morze puszcz.

Brodaty żubr i tur srogi, jeleń i łoś ze szczytów jałowych zstępują w dół, znęcone rajem dziewiczej roślinności. Za niemi podąża zwierz drapieżny, mięsem ich żyjący. Za zwierzem z niewdzięcznych skał rusza człowiek i zapędza się w wyprawie łowieckiej w te uśmiechnięte i rozkoszne doliny. I wraca do domu, jak owa gołębica z różdżką oliwną, niosąc dobrą nowinę, która głosi cuda o ziemi obiecanej, a przez potop wód opuszczonej.

Ludy na górach cierpią nędzę i niedolę. Głód pędzi je ku dolinom. Wracają z górskich jaskiń w miejsca, gdzie na nizinach żyli ich przodkowie. I w dolin kwitnących zieleni, na glebie użyźnionej falami potopu, poczynają się dzieje ludzkości na cztery tysiące lat przed początkiem naszej ery.

W gęstwinach puszczy pierwotnej wre walka dzikich ludzi i dzikich zwierząt, walka na śmierć i życie. Podstęp zwalcza się podstępem, zręczność—zręcznością, siłę—siłą, a drapieżność—drapieżnością.

Łowiectwo raz zaczepne, innym razem obronne staje się krwawą wojną, w której człowiek stopniowo wywalcza sobie pierwsze miejsce w przyrodzie. Pierwotny mieszkaniec puszcz raz jest tropiącym zwierza myśliwym, to znowu tropioną przez drapieżniki zwierzyną.

Myśliwskie łupy dostarczają mu żeru i odzienia. Zdobycie pierwszych mieszkań ludzkich, dzikich jaskiń, zawdzięczamy również łowiectwu: człowiek stoczył o nie bój śmiertelny z odwiecznym mieszkańcem grot, olbrzymim niedźwiedziem, zwyciężył go i wytępił.

Myślistwo uczyło przodków naszych życia, otwierało przed niemi tajemnice przyrody. Każda ścieżka śród boru była otwartą księgą, w której pierwotny myśliwiec czytał dzieje puszczy i jej mieszkańców, a tropy i ślady zwierzyny opowiadały mu o dziwnych tajemnicach lasu.

Człowiek zrozumiał, że wiele zwierząt przewyższa go siłą i zręcznością. Niedźwiedzie i lwy jaskiniowe, żubry i tury olbrzymie dały mu krwawą naukę.

Ale równocześnie zrozumiał człowiek, że rozumem i przebiegłością przewyższa wszystkie stworzenia.

Z tą chwilą zwycięstwo jego zostaje przesądzone. Rozpoczyna walkę z drapieżnikami zapomocą podstępu i chytrości. Bronią jego stają się sidła, sieci i pułapki, które zamierzchłe czasy przekazały w spuściźnie naszym kłusownikom.

A gdy trzeba się było zmierzyć ze zwierzem w walce wręcz, oko w oko, pierwotny łowca uciekać się zaczyna również do rozumu, aby nie ulec sile potężniejszego przeciwnika.

W ten sposób powstaje pierwsza broń. Szponom i kłom dzikich zwierząt słabszy, ale mędrszy człowiek, przeciwstawia siekierę i oszczep.

Walka człowieka o pierwsze miejsce, o berło stworzenia ma się ku końcowi. Zmiany klimatyczne przychodzą mu na pomoc, zadając ostateczny cios wielkim kotom drapieżnym, najstraszliwszym jego wrogom ze świata zwierzęcego.

Ludzkość, dzięki myślistwu, osiąga zwycięstwo. Ale jeszcze przez tysiące lat myślistwo żywi ją, odziewa i broni.

Stajemy u źródeł namiętności łowieckiej, która poczyna się tu wprost z instynktu samozachowawczego.

Siła tej namiętności tak jest olbrzymia, iż sięga do nas jej moc poprzez tysiącolecia. Dziki zwierz przestał być postrachem ludzkości, łowiectwo nie dostarcza nam ani strawy codziennej, ani odzienia, a jednak nakaz prastary, namiętność łowiecka, woła nas z wygód miejskich w dzikie puszcze. A my słuchamy jej głosu z nabożeństwem i rozkoszą.

Juljan Ejsmond.

DZIKI W AZJI ŚRODKOWEJ.

(*Dokończenie*).

Zupełnie inny charakter miały obławy na dziki w wioskach podgórskich. Ogromne stada tych zwierząt po 50—60 sztuk spuszczały się z gór i nocami niszczyły pola, a we dnie spały w pustynnych wąwozach górskich, nic, a nic sobie z ludzi nie robiąc. Broni palnej, jak mówiłem, krajowcy nie mieli, a z maczugami lub wschodniemi krzywemi szablami bali się sami atakować stada. Dziki dochodziły czasami do takiej bezczelności, że szarżowały na stróża z bębnem, którego funkcję pełnili kolejno obywatele wioski przy polach z kukurydzą lub sorgo (dżugara) i biedni wartownicy kryli się pod kamiennemi płotkami, a dziki niszczyły pole zupełnie bezkarnie.

Zjawiwszy się na prośbę gminy z kilkoma milicjantami, zarządzałem obławę, do której stawali chętnie wszyscy mieszkańcy, mający konie, uzbrajali się jak kto mógł, w okute drągi, maczugi, cepy, krzywe pałasze i t. d. Formował się oddział z kilkudziesięciu koni, z którym ruszałem tam, gdzie dziki mogły nocować, a odnalazłszy stado atakowaliśmy je konno strzelając z konia, więc niezbyt celnie.

Stado się zrywało i poczynało uciekać w góry, przyczem pierwsze 3—4 km. dziki biegły szybko znacznie wyprzedzając robocze włościańskie konie. Lecz w miarę pogoni dystans się zmniejszał, tłustym, spasionym dzikom brakło tchu, stado się rozbijało na grupki, wreszcie obława dopędzała dziki i poczynała je doszczętnie wybijać. Strzelaliśmy z konia z karabinów i rewolwerów. Oszalałe ze strachu stado—traciło impet, często kręciło się na miejscu, zapominając o obro-

nie. Młode i ranione dobijali krajowcy pałkami i maczugami. Właściwie nie było to już polowanie, ale jakaś rzeź, argientyńskie „salderos“ przy biciu byków, bo nie mogę sobie przypomnieć wypadku, żeby taka obława nie kończyła się zupełnym zniesieniem stada i oswobodzeniem na długo okolicy od złych niszczycieli posiewów.

Ciekawe, że nawet ogromne odyńce, poddawały się ogólnej panice i uciekały, nie broniąc się. Obław takich miałem parę co jesień w rozmaitych okolicach Fergany, a że z 20 lat służby w Turkiestanie—16 przesłużyłem w administracji, więc miałem ich razem kilkadziesiąt. Raz tylko podręczny dżygit mój Idrys omal że nie stał się ofiarą dzika. Dopędziwszy stado wysunął się na dobrym koniu naprzód i jadąc obok ogromnego dzika, prowodyra stada, strzelił z rewolweru raniąc go ciężko między łopatki strzałem z góry na dół. Nagle dzik, który nie był jeszcze wyczerpany, błyskawicznie rzucił się koniowi pod przednie nogi i poderwał go do góry przewracając na bok. Zawróciwszy się dzik jeszcze raz szarżował rozpruwając koniowi jelita, poczem zbroczony krwią popędził dalej. Rzuciliśmy się na pomoc Idrysowi, wydobywając go z pod bijącego się konia.

Wyszedł nad podziw szczęśliwie: potłuczony, kulejąc, w podartem ubraniu, ale cały, bez poważnych uszkodzeń. Gmina, w obronie pól której poniósł tak dotkliwe obrażenia, natychmiast wypłaciła mu odszkodowanie za konia i ubranie, ale krajowcy nadali mu przezwisko „tunguzzden igan“ (nadjedzony przez świnie), które go ogromnie drażniło i pewno pozostało mu na całe życie.

Ja także miałem raz wypadek, który skończył się komicznie, ale nauczył mię nie lekceważyć koniecznych ostrożności na takich polowaniach.

Było to w końcu września. Dzień był nadzwyczaj upalny, słońce prażyło, jak latem. Zarządziłem obławę na prośbę gminy Ming-Tiube (tysiąc pagórków). Wtem, gdy obława była już skończona i poczęło się zbieranie zabitych dzików w jedno miejsce, przybiegł konny posłaniec z doniesieniem, że sąsiednia gmina, znajdująca się po drugiej stronie niewysokich gór, wiedząc o zarządzonej w Ming-Tiube obławie, pędzi stado dzików w naszą stronę i prosi o pomoc w ich wytępieniu. Zmęczony kilko-kilometrową pogonią, spocony, zdjąłem karabin i pas z ładunkami i pistoletem i oddałem to podręcznemu dżygitowi, a sam, rozpiąwszy mundur, na zziajanym koniu, w towarzystwie tylko dwóch dżygitów, począłem sie powoli podnosić na niewysoką przełęcz, żeby się rozpatrzeć w sytuacji i zobaczyć, jakie zarządzenia można będzie wydać. Wspiąwszy się na górę, zobaczyłem, że stado leniwie i ostrożnie pędzone przez tamtą obławę, już rozbiło się na oddzielne grupki i rozmaitemi zboczami uchodzi powolnym kłusem w góry, więc pomóc sąsiedniej obławie było zapóźno. Ale po grzbiecie dość stromego zbocza, wprost na mnie idzie locha, wiodąc za sobą gęsiego trzy warchlaki. Zeskoczywszy z konia, schwyciłem berdankę i, krzyknąwszy dżygitowi „przygotuj ładunki“, spuściłem się kilkanaście kroków nadół i padłem na kolana, gotując się do strzału. Maciora szła wolnym kłusem, nie spiesząc się i oczywiście, nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Wyczekawszy chwili, kiedy dzik, zobaczywszy mnie, zatrzymał się na moment i, podniósłszy głowę, wpatrywał się we mnie, dałem ognia, celując w piersi i spudłowałem najfatalniej, zapewnie wskutek tego, iż nie wziąłem pod uwagę, że strzelałem zgóry na dół. Maciora rzuca się na mnie. Wyciągam rękę po nowy ładunek—dżygit zwiał, unosząc pas z ładunkami i pistoletem.

Zrywam się, chcąc się z drogi usunąć, ale stoję na grzbiecie stromego zbocza, a dzik tuż. Instynktownie chwytam za lufę; z całej siły uderzam kolbą po głowie zwierza. Kolba się łamie, ja dostaję poważne uderzenie ryjem w lewe udo i z lufą w ręku toczę się z góry, drapiąc twarz i ręce, a dzik z warchlakami defiluje około dżygitów z końmi i uchodzi w góry. Na szczęście żadnego poważniejszego szwanku, prócz zasłużonego siniaka w udo — nie odniosłem i wróciłem do swoich skunfundowany i ze złamanym karabinem. W obronie dżygitów muszę powiedzieć, że milicjanci brani z miejscowych krajowców, przy pościgach za szajkami (politycznemi i pirackiemi), które w owych czasach rodziły się jak grzyby po deszczu w rozmaitych kątach Fergany, szli w ogień z zadziwiającą śmiałością i przez cały okres mojej służby w Turkiestanie, nie pamiętam wypadku zdrady lub dezercji*). Prawda, że za śmierć w w polu religja mahometańska obiecuje raj i dwanaście najpiękniejszych dziewic, a za śmierć lub poranienie przez nieczystą świnię — czekają tylko męki w piekle. I z tą właśnie psychologją trzeba się było liczyć.

Lecz wracam do obławy.

Po zniesieniu stada zarządzałem zbiórkę zabitych w jedno miejsce, przyczem, jak mówiłem, wleczono je po ziemi, często na przestrzeni kilku kilometrów. Potem z obawy sprowadzenia najścia wilków z gór, wykopywano ogromne jamy, wszystkie cielska zrzucało się do tych mogił i zasypywało je mocno ubitą ziemią. Wywieźć zabite dziki do miasta, gdzie stało wojsko i mieszkali Rosjanie, nie podobna było, gdyż obławy robiono najczęściej we wrześniu, kiedy jeszcze upały są bardzo silne, a dowieźć zwierzynę trzeba było na arbach o 100 — 200 kilometrów. Raz namówiłem jednego z dowódców kompanij, żeby posłał kilku żołnierzy na miejsce obławy z pustemi beczkami, solą i saletrą, żeby oprawić ubite sztuki na miejscu. Dałem im 47 sztuk

---

*) W czasie ostatniej rewolucji, z całej armji rosyjskiej został wiernym swoim wodzom: Korniłowowi i Denikinowi, którzy tyle sadła zaleli bolszewikom, tylko dywizjon jazdy turkiestańskiej, który przeeskortował ich przez całą Rosję od zachodniej granicy, aż na Kaukaz, oddał starszyźnie kozaków kubańskich i wtedy dopiero przeprawił się przez morze Kaspijskie i wrócił do swego kraju.

zabitych dzików, młodych i starych, które oprawili, zamarynowali i na trzech arbach wywieźli do siebie, ale czy szynki były źle solone, czy, jak mówili żołnierze, mięso było pobite (gdyż ranione dziki krajowcy dobijali pałkami), dość, że marynata nie udała się i cały zapas trzeba było wyrzucić. Oprócz tego widok paproszenia i solenia zwierząt, które w pojęciu krajowców było wstrętniejsze od psów, tak zohydzał Rosjan w oczach krajowców, że ze względów politycznych więcej takich eksperymentów nie robiłem.

Z Turkiestanu wyjechałem nad Amur w 1896 roku i w jakim stanie jest tam zwierzostan obecnie — pojęcia nie mam.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

NA ZLOTACH.

(Urywek z powieści myśliwskiej).

Ciemności panowały jeszcze głębokie, gdy skrzypnęły przeciągle drzwi izby i wszedł stary Wołk. Trzasnęła potarta o piec zapałka i po chwili mała lampka oświeciła wnętrze chaty. Zerwał się Szymon i wyszedł na dwór.

Noc była cicha i tak dźwięczna, że wyraźne echo przyniosło mu od poblizkiej ściany leśnej odbicie stuku drzwi zamykanych. Późny księżyc wytoczył się nad śpiącą puszczę, lejąc jasną poświatę na stojące bez szelestu, srebrne od rosy kiście traw i krzewów, tchnących od pierwszych przymrozków tą intensywną wonią jesienną, która napełnia niby ożywczym balsamem spragnione płuca ludzkie.

Niebo nie rumieniło się jeszcze nawet nadzieją świtu, ale przeczucie nadchodzącego dnia rodziło się gdzieś w tajemnych głębiach i kołatało żywiołową mocą do instynktów zwierzęcych, albowiem z ciemnej budowli, ziejącej wonią obory, rozlegało się raz po raz ostro modulowane pianie koguta.

Miły rześki dreszcz wstrząsnął ciałem Lewczuka i chłopak skoczył z powrotem do ciepłej izby. Nina siedziała już za stołem ziewająca, słabo pokrzepiona kilkogodzinnym snem w dusznej atmosferze chaty.

— Panienka pewno herbaty zechce, — ozwał się Hrehor widząc osowiały wzrok Niny, — wraz spać odechce się, — albo lepiej jeszcze wódki troszkę.

Tu wydostał z szafy butelczynę i kieliszek z utrąconą nóżką.

Nie odmówiła Nina i odważnie wychyliła nalaną przez starego porcję, zagryzła chlebem, ochoczo zerwała się z ławy.

— No, prawda, lepiej? — uśmiechnął się Wołk, — teraz jechać pora!

Wyszli wszyscy i skierowali się w milczeniu ku rzece, znacząc wyraźny ciemny ślad na siwej od rosy i księżyca trawie. W milczeniu odbiło czółno od brzegu i, kierowane pewnemi ruchami wiosła, płynęło z biegiem wody.

Wjechali znowu w leśny korytarz. Ciemno tam było, gdzieniegdzie tylko przedzierało się światło miesięczne przez gęsty szpaler drzew i rzucało dziwaczne plamy na tajemną głębię czarnej wody, zapalało jasnymi błyskami okrągłe liście grążeli, mieniące się niby srebrne blachy na ciemno-zielonym aksamicie.

Za nagłemi zakrętami pojawiały się znienacka jakieś czarne ponure kształty, wyciągające ku górze pogięte przyziemne konary, niby zastygłe ręce, czasem zabłysnął, jak siny ognik, mokry liść, oświetlony przez zabłąkany w gęstwinie promyk księżyca, albo zamigotała brylantowym połyskiem, jak berło królewskie, kiść zroszonej trzciny.

Po trzech kwadransach zatrzymał Hrehor czółno przy wielkiej kępie olszyn, pomiędzy rzadkiem sitowiem. Czepiając się gałęzi Szymon wyszedł na suchy, utkany ze splotów korzeni pagórek i, podciągnąwszy nieco dziób czółna, podał rękę Ninie. Potem obaj z Hrehorem wyciągnęli do połowy lekkie czółenko na brzeg.

Stary leśnik ruszył przodem, zagłębiając się odrazu po kolana w grzązkie błoto, rozlane czarnemi kałużami między kępami drzew. Za nim brnęła Nina z rozwidlonym kijem w ręku, a Szymon zamykał pochód.

Nad wyraz trudna była droga. Przedzierali się przez mokre krzewy łozowe, sypiące z góry zimnym deszczem, albo przez zwartą gęstwinę pokrzywy, palącej za dotknięciem żywym ogniem. Zastępowały im drogę nieprzebyte zwały bujnych traw, to znów festony dzikiego chmielu, wiążącego niby ljany sąsiednie drzewa. Nogi to więzły w błocie czarnem i lepkiem, to ślizgały się na ułożonych ongiś, jako kładki, obmokłych zmurszałych drągach.

Niebawem jednak sprawa się polepszyła — wyszli na miejsca bardziej otwarte, zaczęły się trafiać karłowate brzózki i kępy miękkiego mchu.

— Ot już niedaleko, — zwrócił się szeptem Hrehor do Niny, — musi zmęczyła się panienka, wraz tu i spocząć można trochę, posiedzieć na mchu: czasu jeszcze „chwyci".

— Ciężko iść, rzeczywiście, — odparła Nina, opuszczając się na wzorzystą kępę i wyprostowując omdlałe nogi.

— Wnet dojdziem, ćwierci wiorsty już niema. Miejsce tylko znaleźć trzeba, gdzie zasiąść.

— A to nie byliście tam, Hrehor?

— Teraz nie. Już jak kaczek ja wysłuchał, to chodzić tam za dnia niemożna — popłoszysz!

— To one cały dzień tam siedzą?

— A jakże. Rano, jak przylecą, będą „szlopać się" na czystą wodę, potem tylko trochę porozpełzają się po trawach, ale nie daleko, a niektóre przy samej wodzie zostają. Aż na zachód słonka znowu precz lecieć będą na łąki, gdzie żeru dość, na pola ziarno skubać całą noc.

Wkrótce dotarli do jeziorka. Cicha woda spała pod osłoną gęstego mroku, jak ciemne widma majaczyły wyniosłe drzewa przeciwległego brzegu. Hrehor zostawił Ninę i Szymona na kępie, a sam ruszył dalej, chlupocąc po wodzie obutemi w lipowe łapcie nogami.

Gdy po chwili powrócił, zabrali się obaj myśliwi do klecenia szałasu z gałęzi.

— Tu miejsce dobre—mówił stary — ot tak i tak strzelać można, trzcin niema, woda czysta. Brzegi strach, jak wydeptane — patrzał ja, jakby konie chodziły, tak trawa pokotem leży i pierza wszędzie dużo. Tu ich sam lot będzie.

W czasie roboty ściemniło się nagle, nizki księżyc, zasłaniany coraz gęstszą chmurą, znikł zupełnie. Szymon spojrzał na leśnika.

— To nic, świt idzie i mgła wstała. Deszczu nie będzie.

Rzeczywiście z odwiecznych topieli wstał przededniem gęsty tuman i zasłonił świat ciemnym welonem. Znikły kontury drzew z jeziorkiem, ciemność prawie namacalna otoczyła myśliwych.

Zapas gałęzi był już jednak zrobiony, pozostawało tylko urządzenie budy. W celu ułatwienia tej pracy, wydobył Wołk świecę, wziętą przezornie do starej, skórzanej torby myśliwskiej. Błysnęła zapałka, oświetlając pooraną zmarszczkami, niby z bronzu wykutą, twarz starego strzelca.

Cisza była tak zupełna, że płomień świecy stał nieruchomo, oświetlając nieźle najbliższe przedmioty. Nina świeciła, a obaj myśliwi splatali wkoło wielkiej kępy ścianę z gałęzi olszyny i wierzby.

Gdy szałas był gotów, zasiedli w nim Nina z Szymonem, stary zakrył jeszcze budę z wierzchu paru szerokiemi gałęźmi i odszedł w drugi kraniec wąskiego, wygiętego w półksiężyc jeziorka.

— Strzelaj, panoczku, tu wskroś na wodę, ja aż tam daleko siedzieć będę—bezpiecznie — rzekł na odchodnem.

Ciemności nastały jeszcze większe dla oczu, oślepionych zagasłem światłem, czas jakiś słychać było w zupełnej ciszy kroki Hrehora, a potem trzask gałęzi i szemranie listowia przy budowie szałasu.

Atoli po niejakim czasie uczyniło się jakby widniej. Nadchodzący świt zwalczał mroki nocy, sączył białawe światło, przesiane przez tuman mgły, z której zaczęły powoli występować bliższe zarysy drzew i krzaków.

W ponurej ciszy czekała usypiająca przyroda na nadejście dnia, żaden głos nie nucił hymnu powitalnego. Lasy, buchające w czasie niedawnego lata radosnym gwarem ptasim, stały cicho, nastroszone zszarzałą i wypełzłą wełną szat zwierzchnich, ociekając chłodną, śmiertelną wilgocią.

I oto znienacka dał się słyszeć krótki a ostry szum skrzydeł, nagły plusk wody, donośnie i przeciągle zakwakała krzyżówka.

Lewczuk zebrał się w sobie, strzelbę ścisnął w dłoni i, pochylając się ku opartej o pień olszyny Ninie, szepnął:

— Zaczyna się! „kucharka" *) już jest.

— Zaraz pan będzie strzelał?

— Nie, ciemno jeszcze, zresztą te siadły gdzieś z boku, pewno na jakiejś kałuży na błocie.

Powietrze jaśniało zwolna, coraz szersza przestrzeń zarysowywała się przed wytężonemi oczyma Szymona, który przywarł twarzą do luki, zostawionej w poszyciu budki, i lustrował białawą, dymiącą od mgły powierzchnię jeziorka. Już i przeciwległy brzeg zaznaczył się niejasnemi konturami drzew.

Wtem szum jakiś, niby daleki wiew wiatru, doleciał uszu myśliwych. Powstawał gdzieś w nieokreślonej przestrzeni, rósł gwałtownie, zbliżał się wprost z góry, niby lecąca skądś nawałnica, aż zahuczał nagle nad samą głową, jak wściekły huragan.

Zachwiały się gałęzie drzew pod ostrym pędem powietrza i jednocześnie rozgłośnie zapluskała woda, niby pod lawiną rzuconych z góry kamieni.

Nina z wielkiego wrażenia chwyciła gorączkowo gałąź olchy, ściskając ją z całej siły w dłoni i drżąc ze wzruszenia zapuściła wzrok na widniejącą między splecionemi gałęźmi taflę wodną.

Ledwie dojrzała niewyraźne plamy na jaśniejszem tle, gdy huknął strzał Szymona, aż w uszach zadźwięczało, białawy dym trysnął pochyłym słupem nad wodę, ozwał się gwałtowny ostry furkot skrzydeł i plusk zrywających się ptaków.

Lecz jeszcze nie umilkła wrzawa odlotu, jeszcze nikły obłok bezdymnego ładunku wisiał nad wodą, gdy powietrze zadrgało od nowej lawiny spadających ptaków, spieszących na obrane miejsce. Tym razem Nina uchwyciła dokładnie uchem przeciągły świst złożonych w ostrym spadaniu skrzydeł i głuche warczenie lotek, hamujących zbytni pęd lotu.

I znowu, zanim się zorjentowała, zanim dojrzała dokładnie ciekawych przybyszów, siedzących nieruchomo z wyciągniętą szyją, wystrzelił

*) Tak na Białej Rusi i Polesiu nazywają pierwszą na zlocie kaczkę.

Szymon, a stadko w popłochu zerwało się do ucieczki, grzmiąc skrzydłami i przerażonem kwakaniem ogłuszając okolicę.

Teraz nastała chwila ciszy. Ledwo wyczuwalny powiew zwiał dym na bok i odsłonił kilka zabitych sztuk, pływających do góry brzuszkami. Znów zahuczały skrzydła nieco z boku, rozległ się wystrzał Hrehora, znów z pośpiesznym furkotem odleciały ptaki w dal.

Nadeszły najgorętsze chwile. Szymon klęczał w środku szałasu, w którym z boku Nina przytuliła się do grubego pnia. Drżącemi palcami ledwo nadążał zakładać ładunki do rozgrzanych przez częste strzały luf. Jak jadowite żądło, wysuwała się zabójcza broń przez splecione gałęzie, siejąc śmierć i popłoch straszliwy w nadlatujących ptasich rzeszach.

Kaczki siadały na całem jeziorku, to w zaciemnionym przez wysokie drzewa lewym kącie, to naprawo na otwartej przestrzeni, marszczącej się już zlekka w pierwszych podmuchach rodzącego się wiatru.

To znów nawprost budki blizko pluskały z góry, tryskając wodną fontanną, osypując srebrzystemi kroplami szałas i najbliższe krzaki.

Niekiedy widziała Nina tuż przy budce nieruchomą sylwetę, sztywno wyprężoną w oczekiwaniu możliwego niebezpieczeństwa, tak blizką, że mogła dostrzec błysk bystrych bronzowych oczu, utkwionych w podejrzany stożek gałęzi, i piękny szafir lusterka na złożonych naprędce śmigłych skrzydłach.

Rozwidniło się zupełnie. Mgła zrzedła, świetlaną nadzieją pogodnego dnia rozbłękitniało się cd góry niebo.

Zrzadka już tylko zaszumiały gdzieś skrzydła przelotnych kaczek, lub spóźnione jakieś stadko, skuszone spokojną taflą jeziorną, siadało, lecz przyjęte śmiercionośnym śrótowym deszczem, umykało jak szalone w dal.

Małe cyranki śmigały tu i ówdzie między drzewami swym niedościgłym lotem, zataczając faliste kręgi i szukając spokojnego miejsca na dzienny odpoczynek. Ciężkie krzyżówki leciały wolniej i wyżej, przerażone napełniającym jeszcze powietrze przeciągłym hukiem upartej kanonady.

Cisza wreszcie nastała i spokój. Już też i słońce przedarło się przez resztki mgły i jasnem złotem oblało szare olchy i zżółkłe szkielety trzcin. Poprzez lekki szmer wiatru usłyszeli nasi myśliwi delikatny rytmiczny plusk wody i po chwili wyłoniła się z za wygięcia jeziorka „duszehubka“, kierowana przez Hrehora.

Stary strzelec stał z wysuniętą naprzód nogą, i zręcznie manewrując łopaciastem wiosełkiem posuwał z wysiłkiem swój ciężki, namokły i poczerniały od wody statek po delikatnie zmarszczonej powierzchni.

Zebrał zabite kaczki i przybił do brzegu. Obfity łup powiązali myśliwi parami za łapki i, zawiesiwszy na długim drągu, opartym o ramiona, ruszyli gęsiego w stronę rzeki.

Wesoło zabłysnął czerwony kwiat leśnego ogniska na wielkiej kępie nadbrzeżnej, trzaskały ochoczo suche gałęzie, dokładane przez Hrehora, a bulgocząca w blaszanym imbryku woda zapowiadała upragnione dla zgłodniałych myśliwych śniadanie, urocze na tle leśnego moczaru, u stóp rozłożystych olch, podmywanych przez cichy, czarny nurt głębokiej rzeki.

Włodzimierz Korsak.

Po rykowisku.

Wiadomości, jakie nas doszły z tegorocznych rykowisk w Karpatach, brzmią niepomyślnie. Ledwie kilku myśliwych łaską św. Huberta szczególnie obdarzonych, zdołało zdobyć dobry wieniec jelenia.

Zły ten rezultat tegorocznych polowań w górach nie jest dla nas niespodzianką. Zły stan naszych jeleni, zdziesiątkowanych przez wojnę, kłusownictwo i wilki, z dodatkiem fatalnej aury podczas rykowiska, musiał wykazać się w myśliwskim rachunku cyfrą bardzo ujemną. Jelenie odzywały się słabo i rzadko, wiedzione instynktem samozachowawczym trzymały się głównie gąszczów i miejsc najmniej dostępnych i tym sposobem ratowały swe wieńce.

Ujemny jednak wynik tych polowań nie wpłynął zniechęcająco na naszych „jeleniarzy“. Przeciwnie, każdy był w duszy zadowolony, że kilka dobrych byków uratowało znowu na rok swe życie, bo okoliczność ta na polepszenie się w przyszłości zwierzostanu dodatnio wpłynąć musi i każdy z nas, który tej jesieni był w górach, św. Patronowi łowiectwa, mimo niepowodzenia, był wdzięczny za tych dni kilka górnych, spędzonych na łonie potężnej, dziewiczej karpackiej przyrody.

I nie dziw, że mimo zupełnie spodziewanego ujemnego wyniku łowów tego roku w Karpatach, z naszych myśliwych nie brakło tam nikogo, każdy, czy to właściciel polowania, czy zaproszo-

ny przez niego gość, skwapliwie w danym rewirze się stawił. Tak być powinno. Właściciel rewiru, to jego gospodarz, dbały o swój zwierzostan, a kiedyż łatwiej zlustrować teren, jego zawartość i wartość łowiecką, jeżeli nie podczas rykowiska? Ale jeszcze jest jedna okoliczność, która myśliwego do obecności w rewirze podczas rykowiska obowiązuje. Myśliwy staje na straży swego zwierzostanu w chwili, w której kłusownik najłatwiej dotkliwe szkody wyrządzić mu może.

Obowiązkiem jest tedy prawdziwego łowca być podczas rykowiska w swym rewirze, choć z góry wszelkie jego usiłowania zdobycia jeleniego wieńca skazane były na niepowodzenie!

Dlatego też słusznie Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego stanął na stanowisku, że bezwzględne zamykanie polowania w rewirach górskich niema celu, nie daje korzyści, przeciwnie, przynosi szkodę gdyż niezainteresowany wtedy myśliwy, mniej się o rewir swój troszczy, natomiast, w braku jego obecności, poluje tam kłusownik.

W numerze 18 „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ umieścił prof. Rudolf Wacek artykuł pod tytułem „Przed rykowiskiem“. Opisuje on w nim zły bardzo stan jeleni w Smorzu i w Skolszczyźnie i „bez ogródek wypowiada zdanie, iż tych którzy tego roku pojadą na rykowisko, chyba za myśliwych uważać nie będzie można“. „Czy po to pojadą, pisze dalej prof. Wacek, by ubić jeszcze tego niedobitka, a do tego nie na rykowisku, bo jelenie z powodu bytności wilków ryczeć nie będą, ale na zasiadce, dzięki wskazówkom gajowego?“

Czy wypowiedzieć zdanie, że jadący w góry na rykowisko, wobec złego zwierzostanu, nie zasługują na miano myśliwych, nie było zbyt śmiało i czy politycznie — to osądzi nasz ogół myśliwski — ja wypowiedziałem już swe zdanie w pierwszej części mego artykułu. Może po mnie kto jeszcze zabierze głos w tej sprawie.

Czy tym, co nie szczędząc fantastycznych wprost kosztów, by rewir górski utrzymać i zwierzostan w nim podnieść, nie wolno być w górach, by zobaczyć owoce swej pracy i trudów?

Wiem dobrze, że prof. Wacek w najlepszych chęciach wypowiedział w swym artykule to tak bardzo skrajne zdanie, ale też i czyniąc to, zdradził brak głębszego zrozumienia rzeczy, w której się wypowiada. Łowy w Karpatach, to nie polowanie pod Lwowem, na które jedzie się, by jaknajwięcej ubić zajączków. Karpaty, to wielka świątynia Łowiectwa, w której myśliwy jest arcykapłanem i nie strzelając tam, ale polując w najszlachetniejszej formie, oddaje Łowiectwu kult przy wielkim ołtarzu Przyrody.

A wreszcie słówko pociechy. Stan jeleni w Karpatach nie jest tak zły, jak go prof. Wacek przedstawia. Z radością wielką skonstatowaliśmy nawet, że się od roku zeszłego nieco poprawił. Kilka lat jeszcze wysiłków, cierpliwości, wstrzemięźliwości, a dojdziemy do pomyślnych rezultatów.

Albert Mniszek.

Pies myśliwski.

(*Dalszy ciąg*).

Pachones i perdigueros.

Z hiszpańskich psów krótkowłosych przechowywały się w Hiszpanji dwie odmiany: 1) pachones (mniejsze) i 2) pergdigueros (większe) posiadające nieco krwi długowłosych hiszpanek, co się w skłonności do kasztanowatej maści wyraża. Trafiają się między temi psami dwunosy, i te nawet są cenione. Błędnem jednak byłoby mniemanie, że wyżły powstawały wyłącznie w Hiszpanji. Znane np. były w wieku XV wyżły włoskie (bracchi de astore), w XVI zwane „cane da rete“, które licznie importowane do Francji niemałą rolę odegraly w jej hodowli braque'ów. Hiszpanji pod tym względem należy się tylko palma pierwszeństwa. Ogólnie zaś twierdzić można, że w każdym niemal kraju charakterystycznych dlań odmian gończych z domieszką krótkowłosych psów hiszpańskich, które w końcu XVI i XVII wieku rozprzestrzeniły się w całej Europie Zachodniej wyhodowano przez dobór i krzyżówki — rozmaite rasy wyżłów, zaś na silnym podkładzie psów hiszpańskich długowłosych przez liczne łączenia i przystosowania wyprodukowano psy legawe. Z odpowiednich znów ras gończych ostrowłosych powstały wyżły o ostrym włosie t. zw. gryfony. *) Z czasem w zależności od wymagań i tresury, niektóre wyżły nauczyły się przylegać przy wystawianiu zwierzyny, zaś legawce tę właściwą sobie cechę zatraciły, dość, że dzisiaj niepodobna w tym względzie zaznaczyć ścisłej granicy. Dlatego też przy omawianiu ras psów wystawiających współczesnych będę się posługiwał wyłącznie określeniem: wyżeł, co pozwoli również uniknąć podwójnej nomenklatury. Jedną ze starszych ras

*) Według Ł. Sabaniejewa niektóre rasy gryfonów (Korthals'a, Boulet) o sierci miękkiej, kędzierzawej pochodzą od owczarka francuskiego (Chien de Brie), z domieszką epagneul'a.

wyżłów współczesnych znanych i na wystawach dość licznie eksponowanych posiada Francja, która żyła, bądź co bądź, z Hiszpanją w bliskim kontakcie.

Braque.

Jest nią, mianowicie, rasa wyżłów krótkowłosych, zwanych po francusku „braques“, które jednak nic wspólnego nie mają z wyżej wzmiankowanymi gończemi niemieckiemi (Bracken). Przed rewolucją francuską znane były dwa rodzaje braque'ów: ciężkie — pochodzące zapewne od tropowców lub powolniejszych gończych, którym dodano nieco krwi hiszpanek i lekkie (mniej znane) wywodzące swój rodowód od białych gończych królewskich, również o pewnym procencie krwi epagneulów starego typu, co się głównie wyraziło w charakterystycznej maści białej w kasztanowane łaty. Po rewolucji nieliczne tylko resztki braque'ów się ostały, które teraz niedawno zaczęto we Francji skwapliwie odbudowywać, głównie posiłkując się psami angielskiemi. To też faktycznie ustalonemi rasami braque'ów można nazwać: Braque'a francuskiego (Braque français— ancien type) Braque'a kusego (Braque du Bourbonnais, sans queue) nowo stworzoną rasę braque'a Dupuy, oraz poniekąd braque bléu d'Auvergne. Budowa braque'a francuskiego znamionuje psa dosyć ciężkiego i niezdolnego do żywej i szybkiej akcji. Więc dosyć płytka klatka piersiowa—żebra stosunkowo wysklepione, nogi grube, mało suche, łopatki prawie pionowe, części motoryczne nóg krótkie. Narządy oddechowe i mięśnie nieprzedniej widać jakości, gdyż pies jest niewytrzymały i szybko się męczy. Braque starofrancuski posiada charakterystyczną dla swej budowy dużą głowę, o szerokim wypukłym czole i niewielkim guzie, załom nosowy lekko jest zaznaczony, morda krótka nos szeroki, koloru zawsze brunatnego. Sabaniejew uważa głowę braque'a staro-francuskiego za klasyczną dla wyżła. Uszy osadzone nizko, dość długie, niezupełnie szczelnie przylegające do policzków, formy zwężającej się ku dołowi i lekko podwinięte. Ogon jest niezmiernie typowy, gruby, krótki, ledwie do stawu skokowego sięgający. Sierść krótka, maści zawsze białej w kasztanowate łaty.

Braque bourboński lub kusy.

Braque kusy jest b. podobny do staro-francuskiego i tylko w szczegółach odeń się różni. Jest on nieco krępszy, troszkę inaczej znaczony i posiada ustalony przez dobór kusy ogon, a właściwie brak ogona. Braque, i staro-francuskie i burbońskie w zupełnej czystości rasy są dziś rzadkością.

Braque Dupuy.

Wyżeł francuski krótkowłosy Dupuy jest rasą nową, której powstanie jest b. ciekawe. Wyhodował tę rasę w pierwszej połowie XIX w. niejaki p. Omar Dupuy w psiarni swej w Poitou, — a zrobił to w ten sposób, że połączył swe dwie suki „braque français“ z chartem, zdaje się rasy greyhound, — Remusem, który się odznaczał niezwykłym dla tych psów wiatrem. Wybrane z obu miotów, według maści, suki, po wyrośnięciu, połączono z pierwszorzędnemi braque'ami i rezultat okazał się niespodziewany. — Między ich potomstwem znalazł się pies pierwszorzędnej jakości, który na pamiątkę został nazwany Remusem, Ten Remus z suką Parthenay dał dwa znakomite psy: Nédoc I i Diamant I, które są protoplastami rasy braque'ów Dupuy. Rasa ta pod względem swych właściwości jest zbliżoną do pointerów i zdaje się, że nawet przez jakiś czas była z niemi lekko pokrzyżowana. Przejście więc chartem przez trzy pokolenia bezpośrednio i pośrednio okazało się w tym wypadku szczęśliwym i leniwe, słabe, choć dobrym górnym wiatrem obdarzone braqui staro - francuskie — zmieniło na pierwszorzędne psy użytkowe. Braque Dupuy odznacza się lekkością budowy o nieco charcim zakroju, wązką, długą i suchą głową, ostrą mordą oraz nizko osadzonym ogonem.

Braque bleu d'Auvergne.

Ciekawa rasa wyżłów francuskich są braques bleu d'Auvergne. Zdaniem p. Jana Sztolcmana, który psy te obserwował we Francji — braque bleu d'Auvergne stanowi rasę dość ustaloną choć niewątpliwie uszlachetnioną domieszką pointer'a. Psy te posiadają pewne cechy charakterystyczne, które się odznaczają należytą stałością. Przedewszystkiem więc maść. Tło ich sierści posiada odcień stalowy, pochodzący z równomiernego przemieszania włosów białych z czarnymi. Na tym tle znajdują się duże czarne łaty, zajmujące niekiedy większą część grzbietu i boków. Są to psy średnio wysmukłe, podkasane, na nogach dość wysokich (tylne czasami zbyt długie), głowę mają szlachetną, uszy średnio długie i obwisłe. Chodzą średnim galopem i wiatr mają dobry. Są karne i łatwe do układania. Z pozostałych typów braque'ów żaden na nazwę rasy nie zasługuje. Są to mniej lub więcej przekrzyżowane pointerem braqui francuskie. Należą tu: 1) braque St. Germain, właściwie pointer wysokiej pół krwi, 2) braque de Toulouse (oba te rodzaje braque'ów mają maść białą w kasztanowate łaty) *) oraz 3) braque d'Ariège (maść miała w czarne łaty lub centki).

Epagneul francuski.

Co się tyczy épagneulów czyli wyżłów długowłosych francuskich, to te są mniej w samej Francji poszukiwane, a przez to może mniejsza ilość ich odmian istnieje. Najtypowszym jest „épagnuel français“, rasa powstała przez krzyżowanie gończych z hiszpankami. Jest to rodzaj psów podobny w swych cechach budowy do braque'ów francuskich, co znamionuje rasę ciężką i nawet limfatyczną. Okładają te psy krótko, węszą dolnym wiatrem i męczą się szybko. Maść biała w kasztanowate łaty. Zbliżone do epagneul'a fr.

---

*) Istnieje też mało znana i rozpowszechniona odmiana braque'ów nawarrskich.

są épagneul ardennais, i épagnuel de Picardie, z których jednak pierwszy posiada w sobie spory procent krwi settera, zapewne irlandzkiego (biały w łaty kaszt.), drugi prawdopodobnie gordon-settera (biały w czarne, niekiedy podp. łaty). Dzięki przymieszce krwi settera, psy te są nieco lepsze od epagneul'ów francuskich starszego od nich typu.

W ostatnich czasach powstały dwie rasy (?) épagneuli, które poniekąd wyodrębniają się od innych psów tego rodzaju — nie tylko pod względem lepszych wyników pracy, ale też i zewnętrznego wyglądu. Myślę o Epagneul Pont Audemer'ach i Epagneul breton'ach.

Epagneul Pont-Audemer jest to pies przystosowany przedewszystkiem do polowań błotnych, posiada więc cechy psa wytrwałego, energicznego, obdarzonego dobrym wiatrem. Również, „jak przystało" na psa wodnego nie zna prawie stójki, która nawet na suchym terenie u Pont-Audemer'ów jest niepewna i krótka. Instynkty wodne, budowa oraz wygląd zewnętrzny épagneul'a Pont Audemer wskazują na pochodzenie jego od épagneul'i przekrzyżowanych z irlandzkiemi spanielami wodnemi, lub też francuskim pudlem myśliwskim, gdyż jest on do nich trochę podobny, szczególnie z głowy, z charakterystycznym czubem ponad czołem. Maści są te psy siwawej, centkowanej w kasztanowate łaty.

Gryffony.

Aby zakończyć z wyżłami francuskimi, zatrzymamy się jeszcze chwilę na psach ostrowłosych czyli gryffonach, których istnieją dwie odmiany: krótkowłosych o ostrej sierści i długowłosych o sierści nieco delikatniejszej, kędzierzawej. Zasługa ustalenia rasy pierwszego rodzaju gryffonów przypada w udziale markizowi de Cherville, który hodując te psy przez 30 lat poprawiał starą rasę przez staranny dobór i dodanie niewielkiego procentu krwi pointera. Psy te znane są pod nazwą „griffons de Picard". Gryffony długowłose uszlachetnił i doprowadził do pewnego ustalenia cech niejaki p. Boulet, poprostu przez celowy dobór i bez uciekania się do domieszki krwi obcej. Od jego też nazwiska zwą je griffons de Boulet. Gryffony: Picard i Boulet oprócz długości i twardości włosa różnią się cechami budowy, która jest lepszą nieco u gryffonów Picard ze względu na domieszkę krwi pointera. Prócz tego maść gryffonów Boulet jest kasztanowata lub buro-popielata, niekiedy z małemodmianami, gdy tymczasem maść gryffonów Piicard jest biała w kasztanowate lub żółte łaty. Psy te mają charakterystyczne uwłosienie brw. i wyraźne wąsy. Ogon prosty bez pióra. Są bari dzo zmyślne i na próbach psów o krótkim układaniu przewyższają braque'i i épagneule.

(d. c. n.) *J. Grabowski.*

O wyżle i jego układaniu.

(*Ciąg dalszy*).

Następnie przystępujemy do nauki skakania przez przewrócone krzesło w drzwiach, żeby go pies nie ominął. Przechodzę na drugą stronę i wołam lub rzucam w jego oczach kawałek chleba. Piesek dość szybko decyduje się skoczyć, a gdy już to chętnie czyni, rzucam mu rękawiczkę, lub inny lekki przedmiot, który przeskakując apportuje.

Podnosząc stopniowo przeszkody dochodzę do bardzo wysokich. Np. w pokoju, prawie bez rozpędu pies może łatwo przeskoczyć wysokie stojące krzesło, oczywiście po nad poręczą, nie dotykając przeszkody nogami, w dodatku z jakim przedmiotem w pysku.

Bicia wogóle w tresurze prawie nie używam; w dwóch jednak wypadkach stosuję i to już bardzo silnie. Raz, gdy pogoni zająca; wtedy otrzymuje straszne bicie, zwykle wystarczające mu na całe życie; w drugim zaś wypadku, jeśli włazi mi na łóżko, lub kanapę, czego bardzo nie lubię. Staram go się wtedy zajść na gorącym uczynku, zbliżam się z miną zwykłą, a z batem za plecami, i podszedłszy blizko, ściągam go po zadzie z całych sił. Potem trzeba ze dwa dni pamiętać kłaść na tem miejscu, gdzie właził tenże bat, a napewno mu chętka nie przyjdzie.

Jak prędko tego wszystkiego pies się nauczy — trudno określić. Są pojętniejsze i mniej pojętne; w lecie nauka idzie dłużej, bo czasu mało, w zimie prędzej, bo się więcej w domu siedzi. W każdym razie wszystkie te nauki trzeba urządzać nie zawsze w jednym pokoju. Coraz to w innym, czasem na dworze, w polu, w lesie. Gdy pies dobrze apportuje, uczę go stopniowo nosić za mną różne przedmioty, a w końcu klucze, co już 2 razy ogromnie mi się przysłużyło, psy bowiem odnalazły mi i przyniosły zgubione pęki kluczy; raz na rzemieniu, a raz nawet na kółku metalowym.

Co do kluczy i wogóle co do metalowych przedmiotów — psy mają jakiś wstręt, wywołany bądź chłodem, czy też bezwonnością, lub twardością metalu i bardzo niechętnie biorą go w pysk. Trzeba naprzód bardzo gruntownie wpoić w psa umiejętność i nieodwołalność apportowania, zanim mu się zaproponuje noszenie kluczy, a i to

trzeba robić stopniowo, naprzód biorąc klucze z drewnianym wałkiem, potem z rzemykiem, wreszcie dopiero same.

Również nie bardzo psy lubią brać do pyska ptaka, a już szczególnie z gatunków drapieżnych jak wronę, jastrzębia. Do tego najłatwiej przyzwyczajać, dając do apportowania skrzydło, potem gołębie zabite, lecz już zimne, aby pióra nie przylegały psu do podniebienia, a potem dopiero świeżo zabite ptaki, pamiętając zawsze o tem, aby przed wyprowadzeniem na pierwsze kuropatwie polowanie—pies był już przyzwyczajony do przynoszenia ciepłego jeszcze ptaka. Co do zajęcy, najlepiej, aby pies wcale niemi się nie interesował za młodu, tembardziej, że póki nie jest zupełnie rozrośnięty, musiałby z braku sił ciągnąć go po ziemi, co mogłoby mu potem wejść w zwyczaj. Po dwuch, trzech latach, zależnie od karności wyżła można strzelać przy nim zające; apportując inne rzeczy, bez wahania przyniesie prawidłowo i zająca; takim psem bez obawy popsucia można nawet poszczuć postrzelonego zająca, czego w pierwszym roku unikać trzeba.

Henryk Rudzki.

(D. c. n.)

O zniszczeniu zwierzostanu na Podlasiu.

(*Dokończenie*).

Jako przykład—zdarzenie prawdziwe. U jednego z okolicznych włościan, zawodowego kłusownika, zeszłego roku zrobiono niespodziewanie rewizję i znaleziono trzy świeże sarnie skóry; pomimo starań, ażeby powyższemu kłusownikowi pozwolenie na broń odebrać, skończyło się na niczem i takowe ma do dnia dzisiejszego.

Następnie miał miejsce taki fakt: ogłoszono wielkiemi plakatami, iż kto trzyma broń bezprawnie, a szczególniej wojskową i nie złoży takowej dobrowolnie do rozporządzenia władzy, będzie surowo karany, zdaje się do 40,000 mk. i więzieniem. Naturalnie nikt broni nie oddał; pewnej nocy zimową porą o godz. 11-ej policja spotkała jednego, bardzo przebiegłego — mądrego kłusownika, przytem bogatego i przyszłego komisara, na drodze z karabinem systemu Manlichera, nabitym urżniętemi kulami na dziki. I po wielu rozprawach, dochodzeniach, zapisywaniu stosów bibuły, został skazany, biedny, uciśniony chłopek na zapłacenie kary w sumie aż 1000 mk.; pocieszając owego biedaka, jego sąsiad powiada z zazdrością: „bądź zadowolony i milcz, dawnoś zabił „kabana“, który ważył dwanaście pudów? wziąłeś za niego 12 „kawałków“ (12,000 mk.)“. Więc jeżeli władze nie roztoczą większej opieki nad zwierzyną, już zupełnie znikającą, zwierzyna zupełnie zniknie z polskich ziem i lasów. I wartoby zmienić niektóre ustawy, żeby nie wydawano pozwoleń na broń zawodowym rabusiom zwierzyny, ażeby urzędnikom leśnym, hodowcom pozwolenia były wydawane bezpłatnie lub też za minimalną opłatą. W Niemczech i w Poznańskiem w solidnych prywatnych majątkach leśniczowie otrzymywali bezpłatne pozwolenia i służyły im te same prawa w użytku broni, co i leśniczym państwowym pruskim.

Ileż to młodych ludzi straciło życie w obronie i ochronie zwierzyny, spełniając swój obowiązek służbowy; i mój poprzednik, młody człowiek, który skończył wyższą szkołę leśną lwowską, ś. p. Bolesław Zwolanowski, ścigając przed 15 laty miejscowego kłusownika z bronią w ręku, został położony trupem na miejscu. Śmierć jego wywołała głęboki żal i oburzenie nietylko u władzy zwierzchniej, kolegów i podwładnych, lecz i u ludności okolicznej. Wprawdzie morderca ś. p. Bolesława Zwolanowskiego, dość zamożny miejscowy włościanin, został skazany na kilka lat robót ciężkich i wieczne osiedlenie na Syberji, to jednak młodego i pożytecznego życia nikt nie wróci. Dziś na tem miejscu ku wiecznej pamięci i świadectwu stoi kamienny pomnik, powstały ze składek dobrowolnych kolegów, przyjaciół i służby leśnej dóbr tutejszych.

Dziś przed zachodem słońca, gdy przechodzi sarenka przez ową polankę, na której życie zakończył ś. p. Bolesław Zwolanowski, przystanie i ciekawie przygląda się swemi smutnemi oczami, jakoby z niemem zapytaniem, co ty w tej głuchej kniei robisz, martwy kamieniu, a może przeczuciem tknięta o odbytym mordzie, umknęła w bok do zagajnika; a może słyszała cichą skargę obok stojącej w białej szacie brzozy, na której poruszyły się smętnym szelestem wiszące gałązki. Widzisz, mieszkanko tych cudnych kniej, zginął tu ten, co cię kochał i pielęgnował, w obronie twego życia i rozwoju. Cześć jego pamięci! A potężne konary odwiecznego dębu poruszają się majestatycznym swym szumem, jakoby modlitwą. „Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków“.

Stanisław Nowakowski
leśniczy dóbr Międzyrzec.

NIEDŹWIEDŹ.

(*Ciąg dalszy*).

Znany na całym Uralu myśliwiec Dmitrjew, którego poznałem w 1914 r. podczas mych wycieczek w okolicy Ufy, opowiadał mi podobne do wymienionego zdarzenie z niedźwiedziem. Uralski misio chętnie zasypia na zimę w głębokich grotach skalnych. Tropiciel wyśledziwszy tam zwierza, podprowadził D. pod sam otwór czeluści, a sam rohatyną zaniepokoił śpiocha. Długo musiał żgać go tyką, nim zmusił zwierza do pokazania się w otworze. Dmitrjew strzelił mu w łeb, poczem zwierz cofnął się i znikł w jamie; gdy długo nie dawał znaku życia, tropiciel, nie chcąc utracić zapłaty—wsuwa się w ciemną czeluść, by zdobycz wyciągnąć, jak twierdził, nieżywą. Zaledwie jednak wsunął tam głowę, jaskinią wstrząsnął ryk straszny i mużyk wyskoczył ze zwisającą mu na twarz zdartą jak oskalpowaną skórą z gołego czerepa. Nadbiegli koledzy pomogli opatrzeć chłopu ranę, owiązali głowę szmatą, polali ją wódką, biedaka nią napoili i jęli wyciągać drągami zdobycz z jamy. Zaledwie zapuścili drągi w czeluść, gdy w otworze pokazała się głowa innego zwierza, który łatwą stał się również zdobyczą myśliwych. Samuel Beker, opisując swą przygodę z niedźwiedziem w Indjach, mówi: „popędziłem za ranionym niedźwiedziem, który pobiegł w skały i tam się ukrył. Zanim zdążyłem powtórnie do niego strzelić, leżałem w śniegu odrzucony i czułem cały ciężar zwierza na sobie. Czułem, jak mi odrywał kawał mięsa z uda i byłem bliski omdlenia, gdy nadbiegł mój kolega i wystrzałem w łeb zwierza, ocalił mi życie. Rana moja była okropna, przy najmniejszem poruszeniu nogi widziałem odkryte żyły i drgające nerwy“. Śnieżny vel himalajski jak i czarny z pręgą białą na szyi kaszmirski niedźwiedź, żywiący się przeważnie wyjadaniem mrówek i niszczeniem termitów są niewielkiego wzrostu do 1,80 mtr. zaledwie dochodzące, o wadze 300 funtów, są niemniej krwiożercze i śmiałe — atakują tuziemców bez dania ku temu powodów. Szczególnie cierpią od nich leśni drwale w czasie wypoczynku. Napadając na człowieka zwierz ten stara się najpierw zbić go z nóg, poczem druzgocze mu głowę i łamie kości. Najmniejszy z wszystkich malajski Biruang, o pięknem miękkiem futrze, z czekoladowem piętnem na piersi, jest najinteligentniejszym z pośród całej tej rodziny—daje się bardzo łatwo oswajać, przywiązuje się do człowieka jak pies i jest miłem, zabawnem stworzeniem. Lubi nad wszystko cukier, dany kawałek drobi na małe kąski i po obfitem oślinieniu dopiero spożywa, poczem natarczywie żąda nowego datku. Wzrost jego zaledwie dosięga 1 m. 20 ctm. przy wadze 200 fun. Zamieszkuje półwysep Malajski, Borneo, Sumatrę i Jawę.

W późniejszych polowaniach na niedźwiedzia byłem mniej szczęśliwym, niż w polowaniach na inne drapieżniki. W 1902 r. wybrałem się na tego zwierza; nająłem kilku Inguszy i paru Osetinów, mających mi towarzyszyć w góry.

O 2-ej po północy 3 lutego siedziałem na balkonie Angielskiego Hotelu w oczekiwaniu przybycia mych szapszugów, jakoteż niezadługo doleciał mnie odgłos cwałujących po Aleksandrowskim Prospekcie jeźdźców. W kilka minut już siedziałem na wysokiem, wschodniem siodle i mój rączy Kabardiniec unosił mnie lekko ku górom, szosą wojenno-gruzińskiego traktu. Już u stacji portowej Balty na 13 wiorście, nasze bahmaty mocno bokami robiły — gęsta para buchała z ich szerokich chrapów, nam z pod papach obficie krople potu spływały. Pnąca się w górę szosa utrudniała nam drogę coraz bardziej i dopiero o 9-ej stanęliśmy na połowie drogi do Kazbeku. W sakli jakiegoś mizernego aułu tatarskiego do stromej skały jak gniazdo jaskółcze przyczepionego pozostawiliśmy nasze konie — przeszliśmy wbród wartki, pieniący się Terek i dalszą drogę odbywamy pieszo. Po przejściu kilku jarów, paru mniejszych pasm górskich, przedostaniu się po zdradzieckich kładkach przez straszne górskie szczeliny, znaleźliśmy się na wysokości z gorą 1000 mtr. w okolicy dzikiej pustynnej, marnym lasem pokrytej. Byłem tak wyczerpany długim marszem, skakaniem po odłamach kamiennych, przepełzaniem pod obwisłemi skałami, że gdym stanął u celu, nie byłem w stanie podnieść sztucera do ramienia. Serce jak oszalałe tłukło się w mej piersi, w uszach szumiało jak we wrzącym kotle, a obfity pot zalewał mi oczy—tchu brakło mi formalnie. Z ulgą stanąłem na wskazanej mi przez ingusza maleńkiej płycie granitowej. Nademną zwisała prostopadle kilkupiętrowa—skała, pod nogami staczała się kilkudziesięciu sążniowa przepaść, na dnie której płynął i szumiał niewidzialny strumień górski, toczący z łoskotem, jak daleki grzmot burzy, po swem dnie wytoczone jak bile, kule kamienne. Nigdzie ni świergotu ptaszyn, ni szumu drzew, najmniejszego znaku życia, dokoła martwota, strome skały, dzikość lasów w dolinach, nawet moi ingusze, jak koty zręcznie, cicho, niespostrzeżenie zniknęły przedemną gdzieś w załomach skał; po godzinie gdzieś nademną w górze zakwilił berkut, poczem jeszcze większa zaległa cisza.

Już słońce przeszło większą część swojej drogi, zaczęło zniżać się ku górskim szczytom, gdy uczułem sypiący mi się na głowę piasek. Po chwili, gdy większe kamyki lecieć i potrącać mnie poczęły podniosłem głowę w górę i zdrętwiałem. Nademną, na samej krawędzi wysokiej

skały sterczał wielki, kosmaty łeb niedzwiedzi, ciekawie mi się przyglądający i z niewyraźnym pomrukiem niecierpliwie łapami szarpiący krawędzie skały.

Nigdy nie miałem lepszego strzału. Biała, szeroka pierś szarego misia syryjskiego, jak tarcza wisiała nademną, Nie strzeliłem! Zabity, czy raniony zwierz spadłby na mnie, pociągnął mnie za sobą w bezdenną przepaść, gdzieby nas nawet światło dzienne nigdy nie ujrzało. Ze smutkiem więc rozstaliśmy się: jam pozostał na swem miejscu, zwierz zniknął za krawędzią skalną. Gdy nadeszli ludzie, byli niepomiernie zdziwieni pojawieniem się niedźwiedzia na skale, gdzie tylko orzeł, lub sęp usiąść może. Tak się skończyło me pierwsze polowanie na misia.

W ciepłem Zakaukaziu, gdzie zima krótka, prawie bezśnieżna, a mrozy nie przechodzą 5 stopni niżej zera, szary niedźwiedź śpi krótko, 6—8 tygodni na początku zimy, poczem wychudły, mizerny i słaby włóczy się po okolicy, robi wielkie przemarsze w poszukiwaniu żeru. W takiej włóczędze natrafia niekiedy na swych wrogów — zgraję zgłodniałych wilków i wtedy zaczyna się długa gonitwa — walka na śmierć lub życie. Pokazywano mi miejsce, gdzie niedawno srogi musiał toczyć się bój między osaczonym misiem, a dużą zgrają wilków, o czem świadczyły jasno rozrzucone kamienie, skręcone drzewa, wyrwane z korzeniem krzewy, kupy wydartej szerści i rozrzucone szkielety wilcze na znacznej przestrzeni. Według opowiadań tatarów, wrzawa bojowa tych zwierząt, ryk, skowyt i wycie, trzask łamanych drzew, stuk rzucanych kamieni, mało się różni od wrzawy wojennej. Nec Hercules contra plures: i olbrzym ten musi ulec przemocy ilościowej i staje się często łupem zgłodniałej wilczej zgrai.

W 1904 r. w kraju Tałyszów polowaliśmy nad środkowym Araksem. Najniespodziewaniej dostał się w matnię naszej ekspedycji włóczęga misio, zdołał jednakże, mimo postrzału, wymknąć się nam. Dostaliśmy go na drugi dzień: znalazł go tatar. Miś był strasznie chudy — mierzył 2 mtr., przy wadze 12 pudów. Futro tego szarego niedźwiedzia jest rzadkie, mało puszyste i nie mające popytu na rynku. Kaukaz i Zakaukazie pełne jest tego zwierza i, jakkolwiek wyrządza on szkody w plantacjach kukurydzy, na basztanach, w ogrodach i trzodach tuziemców, jest dla nich mniej strasznym i szkodliwym od panter, tygrysa i gromad wilczych, trzymających w ustawicznym strachu tamtejszą ludność. Słyszałem z ust wiarogodnego nadleśnego p. W. o odważnym myśliwym, księciu Joszwillu, gruzinie, polującym z wielkiem powodzeniem z oszczepem i rewolwerem tylko na tego zwierza. Roczne jego trofea miały przechodzić 50 sztuk najwspanialszych okazów. Kaukaski niedźwiedź jest wielkim amatorem owoców: aby nasycić swą żądzę, nie zważa na obecność człowieka i w biały dzień zachodzi w ogrody, nie dając się łatwo z nich wypędzić.

Wł. Czerniejewski.

(C. d. n.)

Z mojego pamiętnika.

Dzień był wyjątkowo upalny. Susza panowała od kilku tygodni. W takiej to temperaturze psy zupełnie tracą wiatr, a myśliwi siły. Mimo tych przeszkód cała nasza trójka przez dzień cały wytrwale szczęścia probowała, ale bezkutecznie. Nad wieczorem zeszliśmy się razem, myśląc już o powrocie. Strzelec nasz zmartwiony, że mimo obfitości kur będziemy wracać z pustą torbą do domu, rzuca myśl zapolowania na lisa „na wychodnego“ pod lasem.

Projekt ten jednogłośnie przyjmujemy i nie tracąc czasu, każdy z nas udaje się na wskazane nam miejsce. Psa oddaję strzelcowi, a sam obszedłszy brzeg lasu, obieram sobie jako punkt obserwacyjny kartoflisko. Miejsce doskonałe, gdyż przed sobą mam las, a między lasem a mojem stanowiskiem małe pólko koniczyny już częściowo skoszonej. Za sobą mam wieś, z której dochodzą mnie krzyki, śpiewy i nawoływania, urozmaicone głosami ptactwa domowego. Cały ten gwar wsi i urok upalnego wieczoru wprowadza mnie w odpowiedni nastrój... Gdy wtem nagle z hałasem i wrzaskami rozbawionych dzieciaków — zajeżdża wóz drabiniasty dla zabrania koniczyny. Wszelka nadzieja dalszego polowania zdaje się być stracona. Wstaję zatem z zamiarem wyszukania sobie jakiegoś spokojniejszego stanowiska, ruch mój wywołał w pobliskiem kartoflisku nagłe zakotłowanie się czegoś, czego z powodu zasłaniających dużych chwastów rozpoznać nie sposób. Broń trzymam w pogotowiu. Na chybił trafił prowadzę nią po linji chwiejących się traw, z których nagle wypada lisisko. Błyskawicznie strzelam i biegnę sprawdzić rezultat. Znajduję lisa leżącego o kilkanaście kroków dalej. Z radością przyciągam go na stanowisko i postanawiam stąd się nie ruszać. Wyciągam się w bruździe, gdyż czuję zmęczenie po całodziennem chodzeniu. Za chwilę słońce już zajdzie za las. Z niecierpliwością wyglądam chwili, w której przeklęty wóz wreszcie odjedzie i cisza nastanie. Aż tu patrzę — sen to czy zjawa? Wprost na mnie pędzi w podskokach kapitalny kozioł. Nim byłem gotów do strzału, już mnie minął, ale broń nie zawiodła. Kozioł w ogniu zru-

lował. Pilno mi było dojść do niego, ale się trzymam i siedzę spokojnie. Nareszcie wóz już odjeżdża, robi się ciemnawo. Tylko blask nieba jeszcze przyświeca. Wytężam wzrok, aby czego nie przeoczyć, gdy od lewej strony przemknął mi lis, a za nim drugi, daleko po za strzałem. Probuję wabika, naśladując myszy; zwykle ten sposób się udaje, widocznie jednak nie usłyszał. Spoglądam na prawo i wśród mroku rozpoznaję jeszcze lisa, który stoi pod lasem, wabię dalej, lis podciągnął się bliżej, stanął i słucha. Jeszcze kilka tonów, a lis w susach idzie na strzał: został na miejscu. Widziałem jeszcze kilka, ale już na strzał było za ciemno.

Była to jedna rodzina. Całe gniazdo, które kartofliskiem przedostawało się pod wieś na żer. Ułożywszy moją zdobycz: kozła i dwa lisy, czekam na kolegów, którzy już sygnalizują, że idą. Odpowiadam im. — Z daleka już pytają „co się stało"? „Ano nic, tylko z miejsca ruszyć nie mogę". Kłusem dobiegłszy do mnie, przekonali się, że rzeczywiście bez ich pomocy stanowczo zabrać bym się nie mógł.

Franciszek Ejsmond.

DZIAŁ URZĘDOWY.

—0—

Pamiętajmy o zwierzyńcu poznańskim!

Uważamy za naszą powinność od czasu do czasu, pzypomieć szerszemu kołu zwolenników fauny za pomocą organu naszego, który łączy fachowych myśliwych, jako i ogół miłośników przyrody, o obowiązku zasilenia, już to w darach pieniężnych, już to w naturaljach tej jedynej u nas instytucji dającej o nas i na tym polu w gronie narodów słowiańskich właściwe świadectwo o wysokości kultury polskiej. Zwierzostan ogrodu zoologicznego w Poznaniu, po przebyciu kryzysu wojny, rewolucji i wygłodzenia Niemiec, w którym to czasie, jak to już raz donosiliśmy, podupadł liczebnie i był blizkim wyginięcia, obecnie w październiku 1923 r. odrestaurował się i rozmnożył, dzięki zainteresowaniu się coraz szerszego ogółu naszego i wynosi razem 439 sztuk w 162 gatunkach, czyli, że ilościowo i rodzajowo podwoił się prawie.

Dary w zwierzętach i w naturaljach nadesłali: P. Prezydent Rzeczypospolitej 2 wielbłądy, pierwszy pułk ułanów krechowieckich im. płk. Bol. Mościckiego 2 wielbłądy, 28 pułk strzel. kon. wielbłąda, p. Franciszek Wojas z Krakowa orła przedniego, p. inż. dyr. Marmelok z Warszawy 2 małpki. p. Wł. Dusznicki z Warszawy jastrzębia. Domy towarowe, Lisiecki, Łuczak i Dom Konfekcyjny z Poznania 12 mundurów dla dozorców zwierzyńca. Pieniężne zaś dary: Pp. E. Perkowski Poznań 500.000 mkp. Nitoche, Poznań miljon mk. Wileńskie Tow. Myśliwskie miljon mk. Centrala skór T. A. w Poznaniu 500,000 mk., firma Brzeski w Poznaniu 200.000 mk. Iskra, T. A. w Poznaniu 2 miljony mk. Cukrownia w Kościanie 2 miljony mk. Wydział powiatowy w Koninie miljon mk., z dopiskiem: Powyższą sumę uchwaliliśmy jako zapomogę, jedynej w Polsce, a niezmiernie pożytecznej instytucji, jaką jest ogród zoologiczny w Poznaniu.

Oby takich szlachetnych ofiarodawców było jaknajwięcej, a uwolniłoby to nasz jedyny zwierzyniec od wielkich kłopotów finansowych i doprowadziło do rozkwitu godnego tak kulturalnego państwa jakim jest Polska.

Datki pieniężne należy przysyłać na rachunek Ogrodu Zoologicznego do Banku Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego w Poznaniu ul. Wjazdowa 11.

Główny Zarząd Polskiego Związku Myśliwych.

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH

Związek hodowców psów rasowych.

Hodowcy psów pragnący przystąpić na członków Związku hodowców psów rasowych, proszeni są o nadesłanie swych adresów do komisji organizacyjnej wspomnianego związku przy komitecie hodowli drobiu, Warszawa, Kopernika 30.

Baranowickie T-wo łowieckie

poświęciło lokal klubu w dniu 7 października r. b. i zakończyło pierwsze uroczyste posiedzenie Zarządu polowaniem w kotłach na zające. Celem towarzystwa jest fachowe i planowe ujęcie praw myśliwskich, ochrona zwierzyny i akcji wytępienia raz na zawsze plagi kłusownictwa. Polowania odbywać się będą na głuszce, cietrzewie, słomki, dzikie kaczki, bażanty, kuropatwy oraz na grubego zwierza, zwłaszcza na wilki grasujące całymi stadami w kilkukilometrowej odległości od Baranowicz.

Klub myśliwski w Lubawie (Pomorze).

Celem założenia powiatowego klubu myśliwych z siedzibą w Lubawie, zwołano do lokalu kupca p. A. Łukaszewskiego zebranie myśliwych i miłośników łowiectwa z miasta i okolicy, w celu omówienia sprawy.

O godz. 5-ej popołud., zebrało się około 40 osób.

P. Łukaszewski zagaił zebranie, podziękował na wstępie obecnym za tak liczne przybycie i wygłosił obszerny referat o znaczeniu takiego klubu.

Następnie odczytał p. Bielecki prowizoryczny statut, nad którym wywiązała się obszerna dyskusja w której zabierali głos pp. wice-patron kółek rolniczych: Antoni Lewalski ze Złotowa, Władysław Marcinkowski z Byszwałda i inni. Po dłuższych debatach zgodzono się utworzyć Klub Myśliwych na powiat Lubawski.

Z obecnych zapisało się 32 na członków, poczem przystąpiono do wyborów zarządu, do którego weszli przez aklamacje:

Pp. Aleksander Łukaszewski, kupiec z Lubawy—przewodniczący; Mieczysław Gaduszewski, rolnik ze Złotowa—zastępca przewodniczącego; Władysław Ast, kupiec z Lubawy—sekretarz; Alfons Kikul, rolnik z Żwiniarza—zastępca sekretarza; Alojzy Bielecki, kupiec z Lubawy—skarbnik; Władysław Marcinkowski, rolnik z Byszwałda, Artur Bloch rolnik z Lubawy, wicepatron kółek rolniczych i Antoni Lewalski ze Złotowa, ławnicy.

Porady dotyczące broni i amunicji.

Dla wygody naszych Czytelników otwieramy, począwszy od obecnego numeru, stałą rubrykę, w której udzielać będziemy porad, dotyczących broni i amunicji.

Odpowiadamy najpierw na trzy pytania, zadane przez licznych czytelników: jak czyścić broń? jak zużyć powtórnie wystrzelone gilzy? jakim śrótem strzelać najlepiej do poszczególnej zwierzyny?

Czyszczenie broni.

Broń po strzelaniu należy przetrzeć pakułami z brudu (osadu) a potem czystemi pakułami lub szczoteczką nasyconą przeciągnąć smarem specjalnym jak Nitrit, Ballistol lub t. p., a w braku wymienionych smarów, narazie jakimkolwiek tłuszczem. Na drugi dzień należy strzelane lufy silnie przetrzeć szczotką metalową, lub pakułami z tłuszczem, następnie wytrzeć do sucha i przesmarować lekko tymże smarem. Gdyby broń miała przestać bez używania czas dłuższy, to należy operacje te powtórzyć po 3—4 dniach i wtedy broń jest całkowicie zabezpieczona od rdzy.

Używanie wystrzelonych gilz.

Wystrzelone gilzy o ile są z kapiszonem Gevelote'a, a co zatem idzie lepszego gatunku, można używać dwukrotnie, lecz zmiana kapiszona przedstawia więcej trudności i przy tem należy zwracać uwagę, czy kowadełko (stałe) nie jest za bardzo przy pierwszym strzale zbite; tańsze gatunki nie nadają się wogóle do powtórnego użytku.

Jakim śrótem strzelać zwierzynę?

Wobec pomieszania trzech numeracji śrótu, a mianowicie niemieckiej, austryjackiej i angielskiej, (używ. dawniej w Rosji), obecnie najlepiej orjentować się grubością śrótu odpowiednio do zwierzyny, a więc:

		numeracja ang.	niem.	aust.
a) kuropatwy	$2^1/_2$ mm.	Nr. 6	7	12
b) kaczki	3 mm.	„ 4	5	10
c) zające	$3^1/_2$ mm.	„ 2	3	8
zające zimą	4 mm.	„ 3	1	6

różnica w grubości między numerami jest $^1/_4$ mm.

H. S.

Panu Stan. Czyszkowskiemu. (Wałowiec p. Rawę Mazowiecką).

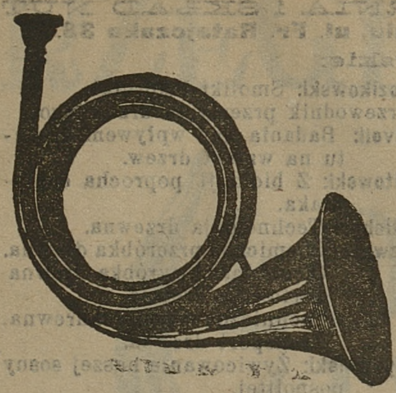
Rzecz w zasadzie możliwa, lecz czy wobec dużych kosztów robocizny opłaciłaby się? Prosimy porozumieć się z firmą H. Sawicki i S. Czerski. Warszawa, Królewska 31.

W dniu św. Huberta (3 listopada) przesyłamy wszystkim naszym współpracownikom i czytelnikom myśliwskie pozdrowienie!

Redakcja
„Przegl. Myśl. i Łow. Pol."

OD ADMINISTRACJI.

Dla WW. PP. Prenumeratorów na prowincji do N-ru bieżącego załączamy blankiety nadawcze P. K. O.



Sygnałówki typu Plessa o szerokiej dźwięcznicy . 38 złp.
„ „ „ o płaskiej „ . 37 „
„ myśliwskie o małej dźwięcznicy . . . 35 „
Różki myśliwskie okrągłe 48 c/m długie . . . . 20 „
„ „ płaskie 48 c/m długie . . . . 17,50 „

złoty polski — według fr. szwajcarskiego.

UWAGA! Przy większem zamówieniu — znaczny rabat od cen wyżej wymienionych.

Fabryka Instrumentów Sygnałowych
ST. PEŁCZYŃSKI — Poznań
ul. 27 Grudnia 1.

R. TORCHALSKI
WARSZAWA
ul. Trębacka № 7, — tel. 199-19.

Skład Broni, Amunicji i Przyborów Myśliwskich.

Poleca: broń myśliwską i krótką różnych kalibrów, systemów i fabryk.

102

Reparacja Komis Zamiana

Skład broni i amunicji
oraz warsztaty reparacyjne

„SPORT”
Sp. z ogr. odp. 104

Warszawa, Chmielna 33, Tel. 226-13 (w pobliżu Dw. Gł.)

Poleca: broń pierwszorzędnych fabryk oraz wielki wybór naboi myśliwskich z kapiszonami **Cavelot**.

Wykonywa wszelkie roboty w zakres puszkarstwa wchodzące po cenach umiarkowanych.

Uwaga! Zakład prowadzony przez wykwalifikowanych puszkarzy, b. współpracowników pierwszorzędnych firm warszawskich i zagranicznych.

Firma stale posiada na składzie wybór strzelb używanych po minimalnej cenie. Zamówienia pocztowe i kolejowe wykonywa się za zaliczeniem.



„ROLNIK” TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaktor naczelny: **Prof. Bronisław Janowski**

Międzynarodowy organ postępowych rolników polskich.

PRENUMERATA KWARTALNA 5 ZŁP.

Egzemplarze okazowe wysyła Księgarnia Polska we Lwowie.

S. HISZPAŃSKI SZEWC
w Warszawie, Krakowskie Przedm. 7, tel. 48-02.

Istnieje od 1838 r.

SPECJALNOŚĆ! Obuwie myśliwskie.

Poszukujemy
bażantarnika-gajowego z dobremi świadectwami

Zarząd dóbr Łochowskich
ŁOCHÓW (z. Siedlecka).

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redaktor przyjmuje od godziny 6 — 7 wieczorem w poniedziałki i czwartki.

Redakcja: Szpitalna 1. **Administracja: Szpitalna 12. Warszawa**

Numer pojed. — **20.000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **40.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **4.000.000** mk.; 1/2 str.— **3.000.000** mk.; 1/4 str.—**1.000.000** mk.; 1/8 str. — **500.000** mk.

Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.